

#niegrzecznenowe

  
motyleWiosie

# Piernikowa magia

*Agnieszka Kowalska-Bojar*

#niegrzecznenowe

# Piernikowa magia

Agnieszka Kowalska-Bojar

[www.motylewnosie.pl](http://www.motylewnosie.pl)

Poznań 2022

Copyright © Agnieszka Kowalska-Bojar

Wydanie II

Poznań 2022

Ebook ISBN 978-83-66352-64-3

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji w jakiegokolwiek postaci zabronione bez wcześniejsze pisemnej zgody autora oraz wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pomocą nośników elektronicznych.

Wydawnictwo:

motyleWnosie

[motylewnosie@gmail.com](mailto:motylewnosie@gmail.com)

Ebooki i książki kupisz na stronie:

[www.motylewnosie.pl](http://www.motylewnosie.pl)

[www.sklep.motylewnosie.pl](http://www.sklep.motylewnosie.pl)

Chociaż na dworze panował okropny ziąb, to z nieba nie spadł nawet jeden, najbardziej lichy płatek śniegu. Za to jakby na przekór wszechobecnemu zimnu, wesoło świeciło słoneczko.

Biegłam wyludnioną ulicą, w duchu przeklinając zegarek, który akurat tego poranka postanowił zastrajkować. Byłam już spóźniona o dobry kwadrans i rozpaczliwie odsuwałam od siebie myśl, że aby dostać się do pracy, stracę kolejny. Całe piekielne pół godziny! I to na dodatek w tak ważnym dla firmy dniu. Pech! Po prostu pech! przeklinałam w duchu, starając się otulić puszystym szalem, bo oczywiście w pośpiechu zapomniałam czapki. Zaterkotała komórka i wtedy potknęłam się o wystającą płytę chodnika. Tym razem zakląłam na głos. Skostniałymi z zimna rękoma wygrzebałam telefon z torebki i odebrałam.

– Cześć kochanie. Nie, nie rozchorowałam się. Będę za jakieś pięć minut. Budzik mi nawalił...

Głupio się poczułam, wygłaszając taki banał, ale co mogłam poradzić, że akurat była to prawda? Nic. Sęk w

tym, że na dziś mieliśmy zapowiedzianą wizytę szefa szefów. Powinnam była stać na baczność przy swoim biurku, a nie pędzić ulicą w niedopiętym płaszczu, z paniką w oczach. Markotnie pomyślałam, że jedynym plusem będzie to, iż w końcu mnie wywałą. Nie cierpiałam tej pracy, dusząc się w ciasnych, biurowych pomieszczeniach, w eleganckim kostiumiku, w atmosferze ciągłego wyścigu szczurów. To stanowczo nie były moje klimaty i gdyby nie pensja, gdyby nie pieniądze, które były w tej chwili tak potrzebne, to uciekłabym stamtąd po pierwszym dniu. A tak zaciskałam zęby i zjawiłam się o poranku, coraz bardziej zniechęcona i zagubiona.

Gwałtownie przystanęłam. Czując narastającą panikę, rozejrzałam się dookoła. Rany boskie! Gdzie ja u licha jestem? Zaraz, zaraz... Powinnam była skręcić w tę wąską uliczkę po prawej, lecz w pośpiechu pobiegłam prosto i znalazłam się w mało znanej okolicy. Rzadko tu bywałam, zwłaszcza że moje mieszkanko wynajmowałam zaledwie niecały miesiąc.

Ulica była wąska. Po obu stronach stały stare kamienice, jedne odnowione, inne przypominały ruiny, z sypiącym się tynkiem i szarymi murami. Na parterze widać był małe sklepiki, obecnie zamknięte na cztery spusty, straszące brudnymi oknami, oklejonymi pstrokatymi ogłoszeniami.

Poza jednym. Ścianę dookoła niego pomalowano w przyjemnych dla oka, pastelowych kolorach. Okno lśniło w promieniach słońca, a wystawa przyciągała wzrok jak magnes. Podeszłam bliżej, w zdumieniu przyglądając się bogactwu za szklaną taflą. Widok był iście bajkowy.

Piernikowy raj! Piernikowe miasteczko. Domy, domki, ba! nawet niewielki kościółek i karczma. I to wszystko skąpane w puszystej bieli lukru. Malutkie postacie ubrane w kolorowe wdzianka, z uśmiechniętymi twarzami, bałwanki z marchewkowymi nosami, łaciate pieski kręcące się pod nogami, dumnie paradujące przegowane koty. Na dachach piernikowych chatek przysiadło kilka szarych, piernikowych wróbelków. Tam przynajmniej panowała śnieżna zima. Aż niemożliwym wydawało się, że to wszystko mogłoby być jadalne. Lecz intuicja podpowiadała mi, że było. A nad miasteczkiem wisiały mieniące się srebrzyście gwiazdy i pызaty księżyc w lukrowanej czapce. Lecz to bynajmniej nie było wszystko. Dookoła leżały, zwisały na czerwonych wstążeczkach i stały inne wypieki. Pierniki, pierniczki, cukiernicze cacka, udekorowane tak, aż poczułam gwałtowne burczenie w żołądku. Dyskretnie podświetlone, ciepłym złocistym światłem, które wylewało się jakby z wnętrza domków.

Położyłam obie dłonie na tafli okna, całkiem zapominając, że jeszcze przed chwilą tak bardzo się spieszyłam. Piernikowe miasteczko zauroczyło mnie, zafascynowało. Nie byłam w stanie oderwać od niego oczu przez bardzo, bardzo długi czas. Dopiero gdy mój telefon zaterkotał po raz kolejny, ocknęłam się i z żalem oderwałam wzrok od bajecznego widoku. Nie odebrałam, bo i po co? Co miałam powiedzieć? Za to uważniej przyjrzałam się sklepikowi. A w zasadzie malutkiej kawiarence. Westchnęłam rozczarowana, gdy uświadomiłam sobie, że o tej porze jest jeszcze zamknięta. Cóż, dwóch godzin nie będę sterczeć pod

drzwiami. Za to przyjdę tutaj zaraz po pracy. A jeśli mnie wywałą, to może i prędzej... Zaniepokojona zerknęłam na zegarek. O Boże! Za piętnaście dziewiąta! Ruszyłam biegiem w powrotną drogę, z prawdziwym żalem opuszczając poznane przed chwilą miejsce. Dziesięć minut później dotarłam zziębnięta do wysokiego, eleganckiego budynku. Chciałam wbiec po schodach, ale oczywiście zapomniałam, że mam na sobie buty na mega wysokich obcasach. Mało stabilne i złośliwe. Potknęłam się i wylądowałam czterema literami prosto na chodniku. Klnąc na czym świat stoi, pozbierałam się i wstałam. Tym razem byłam ostrożniejsza. Za to kiedy byłam już o krok od celu, ktoś zgrabnie mnie wyprzedził. Lecz bynajmniej nie w celu dżentelmeńskiego przytrzymania ciężkich drzwi.

– Co za buc! – sapnęłam z oburzenia w kierunku znikających męskich pleców. – Słyszałeś?! – wrzasnęłam poirytowana, grożąc mu zaciśniętą pięścią. – Ty chanie niemyty!

I weszłam do środka. Cham niemyty miał gdzieś moją opinię i nie oglądając się za siebie, szedł w kierunku windy. Jeszcze raz pogroziłam jego tyłowi i pech chciał, że w tym momencie się obrócił.

– Ja też jadę do góry! – krzyknęłam, przyspieszając. Zdumiony uniósł brwi, ale przytrzymał windę.

– Pani tu pracuje? – spytał ostrym tonem, gdy bezszelestnie zamknęły się drzwi.

– Nie, robię za świąteczną dekorację – odparłam zgryźliwie. Burczało mi w brzuchu, bo oczywiście nie zdążyłam zjeść śniadania. I to bynajmniej nie nastrajało mnie optymizmem.

– Pytałem serio.

Licho mnie podkusiło, bo wkurzał i tym surowym spojrzeniem piwnych oczu, i tym, jak potraktował mnie przy wejściu.

– Jestem prywatną rehabilitantką. Masaże, masaże erotyczne i takie tam. – Natchnienie mi zdechło, bo właśnie spojrzałam na zegarek.

– Yyy... – wyrwało mu się z niedowierzaniem. – Czyją niby?

– Tego kto płaci. Wcisnął pan dwunaste piętro?

– Tak. Tam są biura dyrekcji – zauważył. – Tam niby świadczy pani te swoje... usługi?

– Wiem, co tam jest. Cholera! Nie zdążę się napić kawy! – jęknęłam. – Czy ten piekielny dupek nie mógł przyjechać w porze lunchu? Ale nie, szefoska beztroska nie zważa na udreki biednych szaraczków – mamrotałam poirytowana.

Facetowi mina się wyraźnie wydłużyła. Lecz nie miał okazji zadać kolejnego pytania, bo winda zatrzymała się i z cichym szumem otworzyły się drzwi.

A ja wrosłam w podłogę, bo tuż przede mną stała spora grupa osób. W dodatku same szychy z naszej firmy. Z nagłym olśnieniem zerknęłam na faceta, który przywitał się krótkim „dzień dobry”.

No tak. Właśnie zagwarantowałam sobie zwolnienie. Gorzej. Po tym niemytym chamie i piekielnym dupku wywałam mnie na zbity pysk. Dlaczego akurat ja mam takiego pecha, rozmyślałam, siadając przy biurku. Z odrazą spojrzałam na listę zadań na dziś, a potem energicznie wstałam. Najpierw kawa! Aromatyczna, mocna, czarna, dzięki której zacznę funkcjonować jak



normalna jednostka.

Zdążyłam dać dwa łyki, poplamieć bluzkę, soczyście zakląć, a potem powędrowałam na dywanik do szefa. O przepraszam, do szefa szefów, czyli chama niemytego. Wpadłam do jego gabinetu bynajmniej nie skruszona, ale za to nadzwyczaj wściekła. Nie czekając na zaproszenie, zajęłam miejsce w fotelu i zmierzyłam go niechętnym spojrzeniem. Za to on zachował spokój, wykazując pełen profesjonalizm.

– Gdyby nie pani umiejętności – zaczął suchym tonem – to nawet nie zadałbym sobie trudu, aby podpisać pani zwolnienie.

– Te erotycznej masażystki? – spytałam zaciekawiona. Poczzerwieniał, lecz nie dał się wyprowadzić z równowagi.

– Nie, te lingwistyczne.

Doskonale wiedziałam, o co mu chodzi. Moja mama pochodziła z Mongolii, kraju dość egzotycznego jak na nasze warunki. Dla potentata rynku mieszkaniowego, który zamierzał podbić dalekowschodni rynek, byłam wręcz bezcenna, bo perfekcyjnie władałam dwoma językami, przy czym sama nie umiałam sprecyzować, który z nich, to ten ojczysty. Wiem, wiem, zawsze pozostawał angielski, ale i tutaj okazałam się nie do pokonania.

– Doskonale – odparłam krótko. – Mogę wrócić do pracy?

– Do pracy? A kogo pani masuje? – Teraz on wysilił się na odrobinę złościwości.

– Na pewno nie chamów niemytych – wyrwało mi się, po czym gwałtownie poczerwieniałam. I ja, i on. W

duchu soczyście zakląłam, bo czy nie mogłam po prostu ugryźć się w język? Nie, nie ja ze swoją niewyparzoną gębą.

– Czyli nie mnie? – sarknęła z gniewem.

– Mogę wrócić na swoje stanowisko? Zaspałam, spóźniłam się, chociaż nigdy dotąd to się nie zdarzyło, nie jadłam śniadania i nie wypięłam kawy.

– Nigdy? – Jego mina świadczyła o tym, że najwyraźniej powątpiewał w moją prawdomówność. – To akurat łatwo sprawdzić.

Nie wiem, co sprawiło, że właśnie w tym momencie straciłam te niezbędne resztki cierpliwości. Wyraz twarzy szefa szefów? Ton jego głosu? Wymuskany wygląd, podczas gdy ja miałam poplamioną, niedopiętą bluzkę, pogniecioną spódnicę i oczko w pończochach? Naprawdę nie wiem. Wstałam, a krzesło odjechało z głośnym szurnięciem, pochyliłam się i chwyciłam go za poły marynarki, energicznie potrząsając.

– Kawy! – wycharczałam. – I w dupie mam to, że mnie zwolnisz! Głód szarpie moje wnętrzności i jeśli zaraz czegoś nie zjem, to oszaleję!

Wielu rzeczy mógł się spodziewać, ale z pewnością nie takiego zachowania. Głupiego, dziecinnego i nieodpowiedzialnego. A może właśnie zrobiłam to specjalnie, aby w końcu ktoś mnie wywalił? Całkiem prawdopodobne, bo po takim przedstawieniu sama bym się wykopała z hukiem.

Ale nie on. Oczywiście błysnęły mu rozbawieniem, usta drgnęły, jakby z trudem powstrzymywał uśmiech.

– Dobrze – powiedział tylko, wstając. – W takim razie zapraszam cię na śniadanie.

*Dalsza część książki dostępna w wersji  
pełnej.*

